

Listy do redakcji

Wojciech Głowala, Dominik Lewiński, Marek Graszewicz

Listy do redakcji

Wojciech GŁOWAŁA
Dominik LEWIŃSKI

Do Redakcji
„Tekstów Drugich” w Warszawie

Niewątpliwie nr 1-2 „Tekstów Drugich” z 2005 roku przejdzie do historii (literaturoznawstwa) jako znak przełomu. Dzieje się tak za sprawą Michała Głowińskiego i jego tekstu poświęconego także naszym skromnym osobom. Akty rewolucyjne cechują się przekroczeniem ogromnej ilości dobrze strzeżonych norm i granic. Ale Michał Głowiński przekracza wszystkie, pozostawiając w tyle najgłośniejsze ekscesy historyczne. Normy np. logiczne (nakaz unikania *petitio principii*), obyczajowe i moralne (te dotyczą także negatywnego wartościowania), metodologiczne (reguły analizy tekstów humanistycznych), dotyczące rozsądnego gospodarowania emocjami (ostrzegał Nietzsche: „Nikt tak nie kłamie, jak człowiek oburzony”) i pozostałe normy – najważniejsze – dotyczące rozpoznawania empirii i prawdy. Ale też i reguły przyzwoitości. Tekst Głowińskiego jest więc stuprocentowo innowacyjny i w związku z tym posiada zasadniczą wadę: przestaje tym samym być aktem racjonalnej komunikacji i zostajemy wobec niego bezradni nie tylko w ewentualnym zgorzeniu moralnym. Nawet jego rozumienie np. usprawiedliwione jasno w ramach teorii urojeniowych wizji świata nic tu nie pomagało, tzn. nie dawało się podłączyć do tekstu Głowińskiego. Ale trzeba powiedzieć, że jedno jest tu majstersztykiem: mianowicie konstrukcja odległości między metrykalnym wiekiem autora tekstu i wiekiem autora wewnątrztekstowego na kilkadziesiąt lat! Także doskonały jest jako pastisz nowomownych polemik – mógłby ukazać się w Marcu po zmianie niektórych nazwisk i tytułów.

Przełom – to chyba jeszcze gorzej? – odnosi się też do redagowania czasopisma naukowego. Otóż redakcja „Tekstów Drugich” nie powiadomiła nas o istnieniu

Listy do redakcji

i akceptacji do druku tekstu Michała Głowińskiego. O tym dowiedzieliśmy się od... Głowińskiego przypadkiem. A przecież Redaktor Naczelny chyba pamięta o swoim związku z wprowadzeniem w świat beczeszczonej przez Głowińskiego książki. Ładnie powiedział Irzykowski: „lojalność – ta nowoczesna miłość bliźniego...”.

Chcemy spróbować głębiej elastyczności moralno-poznawczej „Tekstów Drugich” i prosimy o druk tego listu w najbliższym numerze pisma.

Z należnymi wyrazami

Uwagi od Redaktora

W związku z nadesłanym listem Wojciecha Głowali i Dominika Lewińskiego redaktor naczelny pragnie zapewnić P.T. Korespondentów oraz Czytelników, że – jak dotąd przynajmniej: 1) wie, co robi (o ile może to ocenić); 2) nie zamierza informować panów Głowali i Lewińskiego o „istnieniu i akceptacji do druku” tekstu Michała Głowińskiego (ani zresztą nikogo innego) oraz że 3) całkowicie obce są mu pokusy „elastyczności moralno-poznawczej” (cokolwiek miałyby to oznaczać).

Ryszard NYCZ

Marek GRASZEWICZ

Michała Głowińskiego wyobraźnia czytelnicza

W 1-2 zeszytcie „Tekstów Drugich” z 2005 roku pod osobliwym tytułem *Gang strukturalistów*, ukazało się omówienie książki Dominika Lewińskiego pt. *Strukturalistyczna wyobraźnia metakrytyczna. O procesach paradygmatyzacji w polskiej nauce o literaturze po 1958 roku*. Tekst ten przyjąłem nie, jak to się zwykle mówi, z uczuciami mieszanymi, ale ze zdziwieniem graniczącym z przerażeniem. Nie potrafię uwierzyć, że jego autorem jest Michał Głowiński, tak, jak nie mogę zrozumieć, dlaczego ukazał się on tu właśnie, w czasopiśmie, do którego standardów intelektualnych czy obyczajowych nie można było dotąd wnosić najmniejszych zastrzeżeń. Tekst Michała Głowińskiego nie potrafi niestety tym standardom sprostać. Jest subiektywną wypowiedzią pełną gniewu i uprzedzenia. To te pewnie okoliczności spowodowały, że przeczytał on najprawdopodobniej zupełnie inną książkę od tej, jaka została napisana. Stąd trudność w dyskusji z tym tekstem, ponieważ nie sposób polemizować z inwektywami, szczególnie, gdy nie ma się zamiaru dyskutować na zaproponowanym przez jego autora poziomie. Trudno też odnosić się do tekstu, w którym prawdziwe jest nazwisko jego autora, nazwisko autora omawianej książki, bo już nawet jej tytuł podany jest błędnie. Jeśli podejmuję się dyskusji z Głowińskim, to nie w nadziei, że coś zrozumie z książki Lewińskiego – aż tak ambitnie mój zamysł nie sięga. I choć tekst ten nie daje za wielkich szans na merytoryczną polemikę, to jednak spróbuję, i to staranie pełne jest ostrożnej ambicji.

Ja także chętnie ujawnię od razu, co myślę o tekście Michała Głowińskiego. Po pierwsze więc, to, co napisał on o Lewińskim charakteryzuje niestety tylko autora *Gangu strukturalistów*. Ten tekst pełen jest kłamstw (powtarzam: kłamstw, i zaraz będę dowodził), w dodatku zupełnie pozbawione jest znaczenia, czy biorą się one z niewiedzy Głowińskiego, choć, o ile dobrze pamiętam, nie zarzucał Lewiński strukturalistom luk erudycyjnych, czy wynikają z precyzyjnego celu retorycznego, są więc zamierzone, choć mamy do czynienia z zabiegami o nieszczególnym

Listy do redakcji

stopniu wyrafinowania. Przypadek pierwszy bowiem zupełnie jest niezrozumiały, drugi zaś, choć da się tłumaczyć w kontekście perswazyjnym, jest niezrozumiały tym bardziej; pojawia się bowiem u subtelnego znawcy języka i literatury, niekwestionowanego, jak dotąd autorytetu nie tylko naukowego, ale także moralnego. Nie wydaje się mądre, szczególnie właśnie w świetle powyższego zdania, oznajmienie, że Głowińskiego nie interesuje „obudowa teoretyczna i metodologiczna pracy”, ponieważ powinna go interesować, inaczej o czym w zasadzie będzie się mówić. To najpewniej ów brak zainteresowania powoduje, że Głowiński nie wie. Dalej, to niestety arogancja, w dodatku motywowana udawaną najpewniej nieświadomością istnienia metaforycznych tytułów książek, na przykład takich, jak *Porządek, chaos, znaczenie*. Przynajmniej jedno pojęcie w tym tytule nie jest eleganckie, ale wnioskować z metaforycznych tytułów to zajęcie nieszczególnie mądre. To prawda, że tytułowa „wyobraźnia metateoretyczna” jest parafrazą tytułu książki Wojciecha Głowali. Ale nawet u Głowali nie miała charakteru „ornamentacyjnego”. Oznaczała pewną decyzję teoretyczną, podobnie, jak u Lewińskiego. Nawiasem mówiąc, nie przypominam sobie, by w ciągu już sporej odległości czasowej od wydania rozprawy Głowali Michał Głowiński dał wyraz swojemu obecnie niezłomnemu przeświadczeniu, że to kategoria jałowa, natomiast nieoczekiwanie teraz właśnie do tego doszedł. Mam dobrą pamięć i pamiętam dobrze, że Głowiński powoływał się raczej bez obrzydzenia na rozprawę Głowali. Nie uważam tego tytułu za najszcześniejszy, ale odwrotnie niż Głowiński dostrzegam w nim zdecydowaną deklarację teoretyczną, tę mianowicie, że mamy do czynienia z kulturowością a nie poznawczością, a mówiąc jeszcze prościej, opis procesów paradygmatyzacji wskazuje, iż wiedza o literaturze to dziedzina o zdecydowanie umiarkowanej poznawczości. A już zupełnie prosto: literaturoznawstwo nie jest nauką. Co wie Głowiński, Lewiński i Głowala.

Nie rozumiem także, dlaczego Głowiński uważa, że omawiana przezeń praca to rozprawa z historii nauki, skoro to akurat rzecz z socjologii wiedzy. Nie wiem, na jakiej podstawie Głowiński sądzi, że Lewiński czerpie „koncepty i narzędzia z socjologii grup politycznych i – przede wszystkim – z socjologii grup przestępczych”. To kategorie między innymi socjologii w ogóle. Te, jak wiadomo, służą do opisu różnych grup. Naprawdę Głowiński tego nie wie? Naprawdę nie orientuje się w tym ktoś, kto nie tylko z powodzeniem uprawiał socjologię literatury, ale dodatkowo uznawał sam siebie (dodajmy: nieco na wyrost) za pioniera tej refleksji w Polsce?

To jednak niestety nic w porównaniu z pasusem *Gangu strukturalistów* dotyczącym tzw. „języka iblowskiego”. Najpierw Głowiński kłamie, że Lewiński wyraża się o nim z pogardą. Po pierwsze więc, w ogóle się nie wyraża, tylko przytacza wszystkie te idiotyczne dawno już skompromitowane opinie, w dodatku to o nich wyraża się pogardliwie. Praca Lewińskiego nie jest doskonała, ale nie jest dziełem idioty. Po drugie, daje Głowińskiemu asumpt, by ten o języku jego pracy wyrażał się niestety jeszcze gorzej niż przeciwnicy iblowskiego języka. Bardzo przepraszam, ale to doprawdy dziecinne. Bo to znaczy, że skoro można, to nie powinien

Głowiński ani wtedy, ani tym bardziej teraz tak bardzo się zżymać. I że także on na takie oceny daje swoje przyzwolenie.

Konkluzja zaś, że ta praca nie stanie się przez język właśnie przedmiotem zainteresowania czytelniczego o tyle jest nietrafiona, że wiem skądinąd, iż Dominik Lewiński jest w posiadaniu korespondencji od wszystkich autorytetów polskiej wiedzy o literaturze (nie jestem upoważniony do wymieniania nazwisk), którzy ją przeczytali, zrozumieli, a wielu z nich pospieszyło z zapewnieniami, że to świetna książka. Ufam też, że niektórzy przynajmniej z nich zechcą zabrać głos publicznie.

Gdybym był cyniczny, powiedziałbym, że to świetnie, iż Michał Głowiński także się nią zainteresował. W ten paradoksalny sposób z całą pewnością przysporzy jej czytelników. Szkoda tylko, że ucierpiały na tym standardy literaturoznawczego dyskursu w Polsce. Ale za to akurat Lewiński nie powinien się czuć odpowiedzialny.

Michał Głowiński udaje, że nie rozumie innych, niż zakładane przez siebie, znaczeń takich pojęć, jak „środowisko” (kłamliwie zresztą, bo w żadnej zgodzie z rzeczywistością suponując, że to u Lewińskiego synonim sytuacji), „koalicja”, „kalkulacja”, „koniunktura”. Bez sensu utrzymuje, że pojęcia „mobilizacja”, „strategia” czy taktyka to wyraz upodobań Lewińskiego do wyrażen z dziedzin wojskowości, co już dawno jest argumentem nieświeżym. Mniemam, że pojęcie „subkultury” to wyłącznie coś pejoratywnego. Tak właśnie sądzi subtelny znawca języka i literatury. Sądzę, że gdyby Lewiński chciał używać pojęć w przypisywanych mu przez Głowińskiego znaczeniach, to by to po prostu zrobił.

Jeszcze inna próbką czytelnicznych umiejętności Michała Głowińskiego i jego rzetelności. Otóż po baśniowym przedstawieniu relacji Lewińskiego do marksizmu, baśniowym, ponieważ w żadnym, powtarzam: żadnym miejscu swojej książki Lewiński nie odnosi się doń z aprobatą (dezaprobatą zresztą też nie, bo to w ogóle nie jest dobra kategoria) Głowiński snuje zupełnie niepotrzebne opowieści o marcowych docentach, Janie Zygmuncie Jakubowskim, posiłkach z Moskwy, opowiada historie, do których Lewińskiemu i jego pracy nic, dosłownie nic. Następnie łaskawie uwalnia Lewińskiego od udziału w „ideologicznej ofensywie ciemnych typów” (Głowińskiemu wolno używać tego specyficznego języka, Lewińskiemu nie!). To już coś. Ale zaraz pojawia się argument o niewiedzy i złej woli: „Wszystko, co robili jej (książki Lewińskiego-JM.G.) bohaterowie, ma stać się przedmiotem potępienia, wszystko bowiem wynikało ze złych intencji i było rażącym błędem”. To, oczywiście, nieprawda. Lewiński w ogóle nie używa tego typu kategorii. „Zła wola autora sprawia, że negując wszystko, co się da...” – to kolejna próbka języka dobrej woli Głowińskiego. I pisze kłamliwie, że Lewiński coś zarzuca Januszowi Sławińskiemu, że nie chce uznać prekursorskiego charakteru jego wypowiedzi. A oto początek owego zarzutu:

Tak bowiem – zarzuca Lewiński – pojmować trzeba ś m i a ł a (więc nie prekursorską, rzecz jasna; komentarz i podkreślenie M.G.) propozycję Janusza Sławińskiego...

I dalej zarzuca Lewiński artykułowi Sławińskiego:

... w subtelny i pomysłowy sposób daje on wyraz politycznej opozycyjności autora.

Listy do redakcji

I jeszcze jeden zarzut:

Jednak nie ten wątek krytyczny stanowi *clou* wyводу Sławińskiego, ale desperacka próba wyrwania polonistycznej edukacji szkolnej z objęć ideologii, która kryje się za wspomnianą koncepcją podziału przedmiotu „język polski”.

To kto ma się teraz wstydzić? Janusz Sławiński ugiąwszy się pod ciężarem zarzutów? Czy może Lewiński z powodu straszliwej ich wagi i głębokiej niesłuszności? Ja oczywiście wiem, ale nie powiem.

Chwila jednak jest zbyt poważna, by zaślaniać się ironią. Bo otóż, a twierdę to z całą odpowiedzialnością, waga wszystkich twierdzeń Michała Głowińskiego jest niestety podobna. Nie będę więc dalej nimi się zajmował, natomiast obiecałem pokrótce napisać, o czym jest książka Lewińskiego i czym się różni od przykładowych, zgodnych z rozumieniem Michała Głowińskiego monografii, rozumieniem niestety normatywnym. I już nie chcę tego poddawać psychoanalizie, sfera bowiem motywacyjna *Gangu strukturalistów* jest dla mnie głęboko niezajmująca, natomiast jego społeczno-komunikacyjne konsekwencje – owszem.

Otóż Dominik Lewiński, bardzo dobry uczeń między innymi rzekomo przezeń inkryminowanych strukturalistów, opisał systemowy proces formowania się (to „się” bardzo jest istotne, wskazuje bowiem na słaby związek owego formowania z aktami woli i motywacjami osobowymi bohaterów) paradygmatu strukturalistycznego w polskiej wiedzy o literaturze. Opisał procesy instytucjonalizacji i kulturalizacji (stąd owa nieszczęsna tak bardzo rażąca Michała Głowińskiego „subkultura”). Dla autora tekstu *Grupa literacka a model poezji. Przykład Skamandra*, twórcy pojęcia „sytuacyjności” w formowaniu paradygmatu w poezji, owe instytucjonalizacje nie powinny być zupełnie obce.

To nie jest monografia paradygmatu, zarzut więc o pomijaniu wielu wątków pozbawiony jest niestety relewancji, jak pozbawiona jest jej zdecydowana większość twierdzeń Głowińskiego. Przez te wszystkie systemowe czynności, o których Lewiński pisze, paradygmat organizował swoje istnienie, zabezpieczał je, ochraniał autonomię. Gdyby w tej książce opisana była choćby jedna przeciwparadygmatyczna czynność któregośkolwiek z jego uczestników, co z kolei system mogłoby stawiać w stan opresji, wówczas kategoria zarzutu miałaby jakikolwiek sens. Michał Głowiński zachowuje się jak uczestnik systemu. To można i trzeba zrozumieć. Ale jak opisywani przezeń, a rzekomo hołubieni przez Lewińskiego, marksści zachowywali się wobec strukturalizmu różnie, to akurat w kategoriach systemowych można orzekać, że marksistami to oni byli takimi sobie (dobry Boże, a cóż to za marksści z Kazimierza Budzyka, Henryka Markiewicza czy Stefana Żółkiewskiego, o Marii Janion nie wspominając!). W kategoriach natomiast bliższych Głowińskiemu, bo zwyczajnie ludzkich, to zwykła kwestia przyzwoitości. Więc niekoniecznie będąc marksistami, albo nawet będąc nimi, byli i pozostali przyzwoitymi ludźmi, wobec strukturalizmu określając się relacyjnie.

Skoro o kategoriach ludzkich mowa. Wobec jakich autorytetów ma się Lewiński określać lub nie określać, w dodatku ponoć w kategoriach „nienawistnych

emocji”? Od kiedy to wiek gwarantuje w nauce rozum? Co to w ogóle za niemądry pogląd, podpierany bardziej jeszcze niemądrą supozycją, że to u Lewińskiego odbicie frustracji cudzych? A czyich, jeśli można wiedzieć? Bardzo przepraszam, ale to po pierwsze argument z magła, po drugie ten typ retoryki (ktoś za tym stoi!) Głowińskiemu jako ekspertowi w dziedzinie nowomowy nie powinien się być przydarzyć. Cóż jest w tym mianowicie osobliwego? Mamy do czynienia z nauką i gdybyśmy bezkrytycznie składali hołdy autorytetom, jak się okazuje czasami niekoniecznie na to zasługującym, to byśmy mieli nie wymianę poglądów, ale nabożeństwo i adorację. Ale pewnie wtedy nie byłoby tam ani Michała Głowińskiego, ani Dominika Lewińskiego. Mielibyśmy za to mdły zapach kadzideł.

Mało mnie obchodzi, co o mnie sądzi Michał Głowiński, w dodatku w tak niedobrze skrojonym tekście. Mam pewien skromny udział w edukacji Lewińskiego i przypominam sobie, że dzień, w którym zaatakował mnie w dyskusji, był dniem mojej satysfakcji jako nauczyciela. Rozumiem, że Michał Głowiński woli odwrotnie. Ale obchodzi mnie bardzo, że nieudolnie, to prawda, po moich plecach autor *Gangu strukturalistów* wdrapuje się, by przygotować niegodziwą napaść na Wojciecha Głowale, w dodatku zabarwioną atmosferką dyskretnego donosu. Do tego chwyt, że Lewiński młody i głupi, choć nieoczekiwanie może i zdolny, zaś jeszcze gorszy ten, co mu podszepnął, to nie chwyt, ale chwycik, nie na poziomie, ale zaledwie na poziomiku. Tu dopiero, jak łatwo zauważyć, puściły mi nerwy. Ani Dominik Lewiński, który napisał książkę ważną i przełomową dla obiektywnych badań w naukach społecznych, ani tym bardziej Wojciech Głowala, który go w tym zamiarze wspierał, zaś z roli promotora wywiązał się satysfakcjonująco, skoro przez recenzentów rozprawy doktorskiej Lewińskiego został uznany twórcą interesującej szkoły badań literackich, nie są winni czytelniczkiej pomyłce Michała Głowińskiego. Nawiasem mówiąc, we wstępie swojej pracy Dominik Lewiński wymienia jeszcze inne nazwiska, które Głowiński traktuje ryczałtowo. A to nazwiska recenzentów. Bogdan Pieczka już nie żyje. Natomiast żyje i najpewniej ma się dobrze Ryszard Nycz. Autor recenzji, o której powiedzieć, że była tylko pozytywna, to nie powiedzieć nic. Nieobecność tej postaci w aktach gniewu Michała Głowińskiego doprawdy jest zastanawiająca. Nie oczekuję, że Głowiński jakoś to wytłumaczy, byłoby lepiej, żeby niczego już nie nadrabiał. Nie bardzo bym też chciał, by usiłował nadal mierzyć się z wyzwaniem tytułu swojego omówienia. Mam za to nadzieję, że głos zabiorą inne autorytety literaturoznawcze.

Z najwyższym żalem stwierdzam, że do ogólnej zapaści publicznego dyskursu w Polsce Michał Głowiński wniósł swój oryginalny wkład.

Uwagi od Redaktora

Upzejmie informujemy, iż tytuł książki Dominika Lewińskiego brzmi: *Strukturalistyczna wyobraźnia metateoretyczna. O procesach paradygmatyzacji w polskiej nauce o literaturze po 1958 roku* i w takim brzmieniu został przytoczony w tekście Michała Głowińskiego.